

JEST TYLKO JEDNA DROGA, BY SIĘ STAMTĄD WYDOSTAĆ



SAMOTNICA

PIOTR PĄTYKIEWICZ

SAMOTNICA

SAMOTNICA

PIOTR PATYKIEWICZ

bis

WARSZAWA 2013

Projekt okładki: *Dariusz Kocurek*

Copyright © Piotr Patykiewicz
Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

ISBN 978-83-7551-362-2

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. (22) 877-27-05, 877-40-33; fax (22) 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

ROZDZIAŁ 1

Pierwszego dnia ferii zimowych chłopcy zebrali się we trzech tam gdzie zawsze, na skarpie pod trzepakiem. Choć nadeszła wreszcie od dawna wyczekiwana dwutygodniowa wolność, daleko im było do euforii.

Śnieg, który spadł zaraz po Nowym Roku, utrzymał się zaledwie do połowy stycznia. W deszczowej odwilży pozostały po nim jedynie brudne zlodowaciałe przyzmy i psie kupy na chodnikach. Trawniki zmieniły się w błotniste bajory, bezlistne gałęzie drzew obsiadały markotne wrony. Z początku mogło się wydawać, że zima wycofała się tylko czasowo na z góry upatrzone pozycje, by powrócić niebawem w całym majestacie mrozu i bieli, ale dni mijały, pani z prognozy pogody unikała jednoznacznych deklaracji, a aura nie chciała się odmienić.

Nie inaczej było i tego przedpołudnia – nad blokami osiedla ciążyło chmurne niebo, koło uszu świstał wilgotny wiatr.

– Mam gdzieś takie ferie – naburmuszył się Karoten, poprawiając okulary. – Po co w ogóle wylazić z łóżka?

– Ty nawet w lecie sypiasz do południa – dociał mu natychmiast Pawian.

Razem z Szufłą zaśmiali się niewesoło – wszyscy wiedzieli, że Karotena trudno byłoby dobudzić nawet podczas trzęsienia ziemi – ale w tak ponurym dniu nic nie mogło rozproszyć na dłużej ciężkawej atmosfery.

– Może jeszcze sypnie... – westchnął wysoki, rozrośnięty w barach Szufła; ponieważ od paru tygodni przechodził mutację, w tej krótkiej wypowiedzi zabrzmiały obok siebie zarówno najwyższe, jak i najniższe rejestry.

– Nie sypnie – rudy jak marchewka przemądrzalec nielitościwie zdusił ledwie kielkującą nadzieję. – Globalne ocieplenie, panowie. Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które wie, jak ulepić bałwana. Nawet biegun północny rozmarza, białe niedźwiedzie głodują, bo bez lodu nie mogą polować na fok.

Prymus w skali całej szkoły lubił mieć rację – i zazwyczaj miał. Bardzo dużo czytał, zamiast kanałów sportowych i kreskówek oglądał programy popularnonaukowe, zadawał nauczycielom podchwytliwe pytania, na które nie zawsze potrafili odpowiedzieć, ale wbrew pozorom nie był kujonem. Nie uczył się dla dobrych ocen, lekceważył je nawet; utrzymywał, że interesuje go wyłącznie czysta wiedza. Wyrażał swoje opinie kategorięcznym tonem, przywołując na twarz nieco melancholijny uśmieszek, który miał sugerować jakiś wyższy stopień wtajemniczenia w sprawy tego świata. Był życiowym sceptykiem; ze wszelkich złożonych zagadnień zawsze potrafił wydobyć na wierzch to, co najgorsze. Zwykle pobudzony, ożywał się jeszcze, kiedy rozmawiano o nieszczęśliwych wypadkach, kataklizmach i klęskach żywiołowych. Choć jemu samemu nie dolegało nic oprócz lekkiej nerwicy, uparcie doszukiwał się u siebie każdej z rzadkich chorób, o których wiedzę czerpał z seriali medycznych.

– Makabreska. – Na wzmiankę o jedzeniu Szufła wydobył z kieszeni batonik i z rytualnym namaszczeniem rozdarł opakowanie.

Nie podzielił się z kolegami, ale nikt mu tego nie wypomniął, ponieważ jako sportsmen potrzebował dużo energii, a jako nieuleczalny melancholik łakociami osładzał sobie trud istnienia. Był bramkarzem szkolnej drużyny piłki ręcznej; gdy rozkładał wielkie dłonie – rzeczywiście jak szufle – przeciwnicy często ze strachu rzucali piłkę obok słupków. Wyższy od innych o głowę, długoręki, trochę niezdarne, a przy całej swojej sile nieśmiały i bardzo wrażliwy. Prawie nigdy nie podnosił głosu, rzadko wpadał w gniew i bił się tylko w ostateczności. Jako najmłodszy z pięciu synów owdowiałej sprzątaczkę nosił zwykle używane ciuchy po braciach, często o zbyt długich lub za krótkich rękawach i nogawkach.

– Fa-tal-nie – wyskandował dobitnie Karoten. – Wszystko zmienia się na gorsze, nawet pogoda. Za pięćdziesiąt lat świat będzie już całkiem okropny, sami zobaczycie. Jeżeli, oczywiście, dożyjecie starości.

– Kraczecie i kraczecie – parsknął gniewnie Pawian. – Po co wam w ogóle śnieg? Musicie zjeżdżać na sankach jak przedszkolaki?

Spojrzeli po sobie skonfundowani. Nie czuli się dziećmi, zwłaszcza Szufła, który zdążył mieć już nawet dwie oficjalne narzeczone; tę drugą przez całe dwa tygodnie.

– Niby racja. – Potarł w zamyśleniu przyszczaty policzek. – Ale jakoś nudno bez śniegu.

– Ech, smutasy, brakuje wam po prostu fantazji!

Pawian błyskawicznie wspiął się na trzepak i wydał z siebie pełen ekspresji, jedyny w swoim rodzaju okrzyk, któremu zresztą zawdzięczał ksywę. Ugiął kolana, zaczerpnął powietrza, a potem skoczył nieustraszenie prosto na błotnisty, grząski stok skarpy, upadł na brzuch i zjechał parę

metrów głową w dół niczym profesjonalny skeletonista, zatrzymując się dopiero pośród nagich badyli żywopłotu.

– Łuuud-stoook! – przeciągnął triumfalnie, rozcierając rękawem na twarzy czarne smugi.

Chłopcy zarechotali zgodnie, patrząc na niego z góry, ale żaden nie poszedł w ślady kawalarza. Pawian w gruncie rzeczy na to nie liczył. Taka już utarła się między nimi konwencja – on wyspecjalizował się w brawurowych popisach, pozostali zwykle tylko kibicowali. Był o rok starszy od kolegów, powinien już chodzić do gimnazjum, ale za sprawą zbyt drobiazgowej matematyki – jak twierdził – utkwiał na dłużej w podstawówce. Jego ojciec, wzięty chirurg, puszczał mu płazem znacznie grubsze numery niż tylko utaplanie w błocie markowych dżinsów i bluzy. Do głośniejszych wyczynów ostatnich miesięcy należało na przykład rozpylenie w klasie gazu rozweselającego albo zamknięcie na całą noc woźnej w piwnicy. Pana doktora wiele razy wzywano do szkoły, ale sprawa zawsze jakoś rozchodziła się po kosiach, a junacka sława Pawiana rosła.

Pierwszy przestał się śmiać Karoten i natychmiast przybrał zwykły, cierpiętniczy wyraz twarzy, jakby zgorszony, że pozwolił sobie na tę chwilę wesołości.

– Mogłeś rozbić głowę. Albo złamać rękę. Albo wybić oko. – W skupieniu zmarszczył wypłowiałe brwi, szukając dla tej wyliczanki odpowiednio wstrząsającej puenty. – Albo zadławić się własnym językiem.

Pawian wypłuł grudkę błota, podniósł się i wzruszył ramionami. Wyglądał na lekko poirytowanego faktem, że jego popis odniósł tylko połowiczny sukces.

– Odpruła ci się kieszeń bluzy – zauważył Szufla.

Ci, którzy nie znali Pawiana bliżej, posądzali go niekiedy o pewną ociężałość umysłową, ale koledzy wiedzie-

li, że to nie jest prawda. Cierpiał przy naukach ścisłych, Pitagorasa z Talesem uważał za osobistych wrogów, lecz z innymi przedmiotami szło mu znacznie lepiej; kochał marzyć, polonistka doszukiwała się nawet u niego talentu do pisania wierszy.

– Mógłbyś nie troszczyć się o moje łachy? – odparował. – Jak będę miał ochotę, oberwę drugą kieszeń.

Szufla w skupieniu zmarszczył czoło, jakby ta kwestia wymagała gruntownego rozważenia, a potem bezradnie rozłożył ręce.

– To głupie – zawyrokował.

– Sam jesteś głupi, a do tego nudny jak godzina wychowawcza.

Szczypiornista nadąsał się, oparł ramieniem o trzepak i z demonstracyjną nonszalancją zaczął pogwizdywać fałszywie.

– Spokojnie, panowie. – Karoten przeczesał palcami ognistą grzywę, która wystawała spod kaptura. – Ta kłótnia nie ma sensu. Podwyższona drażliwość wynika z niekorzystnych warunków biometeorologicznych. Mamy układ niskiego ciśnienia nad środkową Europą...

– Ktoś pytał cię o zdanie? – przerwał mu opryskliwie panadoktorowy jedynak.

Nie mogło być żadnych złudzeń – te ferie zapowiadały się okropnie. Tak okropnie, że perspektywa kilkunastu ciemnych, wietrznych, rozmokłych dni nie tylko nie cieszyła, ale mogła nawet wywoływać heretycką tęsknotę za edukacyjnym przymusem. Chłopcy czuli, że ich szczerą męską przyjaźń, wypróbowana pośród szkolnych niebezpieczeństw, może nie przetrwać wielogodzinnego wystawiania pod trzepakiem, gdzie każdy pomysł na zabicie czasu natychmiast grzął w zimnym bloku. Usiłowali

jeszcze udawać przed sobą nawzajem, że to nic wielkiego, ot, postoją sobie trochę z rękami w kieszeniach, przytupując w miejscu, a niebawem na pewno wszystko odmieni się na lepsze. Nie wiedzieli wprawdzie, na czym ta zmiana miałyby polegać, skoro nic nie zapowiadało końca pluchy, jednak ufali młodzieńczo i naiwnie, że ten świat urządzony jest mniej więcej sprawiedliwie. Coś musiało się w końcu wydarzyć, coś nieprzewidzianego, aby rozproszyc smutek deszczowej kanikuły.

Po godzinie płomień nadziei przygał znacząco, po dwóch pozostało z niego ledwie parę iskieł. Wrony poderwały się z drzew i krążyły teraz nad dachami wielkim stadem, wyprowadzane na spacer psy obsikiwały pospieszenie krawężniki i natychmiast ciągnęły swoich właścicieli z powrotem do klatek schodowych. Z piwnicznego okienka wystawił głowę bury kocur, zamrugał rozspanymi ślepkami, ziewnął i zniknął.

Szufla z wyrazem łagodnej rezygnacji na twarzy spojrzała wreszcie na zegar kościelnej wieży.

– Już czas – oznajmił.

– Czas na co? – zapytał Pawian bez ciekawości.

– Na obiad. Dochodzi druga.

Kawalarz miał już na końcu języka złośliwą ripostę, aż poczerwieniały mu uszy, ale nie zdążył powiedzieć ani słowa.

Zza narożnika najbliższego domu, popiskując z cicha, wytoczył się dwukołowy wózek ręczny. Popychał go z mozołem przygarbiony staruszek z wypchanym workiem na plecach, ubrany w wyliniały kożuch po kostki, wykoślawione kalosze i staroświecki beret z antenką przekrzywiony na jedno ucho. Posiadacz wysłużonego wehikułu nie bez gracji zaparkował przed metalowymi drzwiami zsypu, rozprostował plecy i podrapał się z satysfakcją

po szczeciniastym podbródku. Dopiero teraz zauważył chłopców na skarpie; zsunął beret na tył głowy, pokazał w uśmiechu mocno zdekompletowane uzębienie i pomachał do nich przyjaźnie.

– Co tam, kawaleria? – zachichotał i zakaszłał równocześnie. – Wypoczywacie sobie?

– Dawno pana nie było, panie Heniu – odkrzyknął Pawian, puszczając kpinę mimo uszu.

– Lubię od czasu do czasu zmienić rewir. Monotonia zabija smak życia.

Na widok starego znajomego zrobiło im się trochę różnie. Pan Henio od lat kursował między osiedlowymi śmietnikami. Ze swoim wózkiem o długim dyszlu i wypchanym workiem na plecach był stałym elementem pejzażu. Nikt właściwie nie wiedział, jakie zdradliwie prądy zepchnęły go na mieliznę życia, ale też chyba nikt o to nie pytał. Staruszek nie wadził nikomu, nie rozrzucał śmieci, nie wywoływał awantur. Chętnie uśmiechał się do ludzi, a jeśli akurat nikogo nie było w pobliżu – do bezdomnych psów i kotów, a nawet do szczurów. Był karykaturalnie brzydki, miał niesymetryczną twarz z wielkim kinolem i rozbieżnym zezem, jednak wysławiał się zaskakująco składnie. Miał bogate słownictwo, choć w razie potrzeby umiał też posłużyć się wyszukanym przekleństwem, zwłaszcza podczas nieuniknionych w jego branży nieporozumień z konkurencją. Nić sympatii pomiędzy zbieraczem złomu a chłopcami nie nawiązała się od razu. Wpadali na siebie często, lecz mimo to żyli jakby w odrębnych światach, oddzielonych niewidzialną granicą. Dopiero z czasem, po roku czy dwóch, zaczęli ze sobą rozmawiać. Pomimo różnicy wieku pan Henio nigdy nie traktował ich z góry, a oni nie wstydzili się usiąść obok

niego na ławce. Trudno byłoby wskazać, na czym właściwie polegała trwałość tych relacji, bo przecież staruszek często znikał gdzieś na długie tygodnie, a i chłopcy mieli własne sprawy, do których nie dopuszczali dorosłych, a jednak ilekroć się spotykali, zawsze znajdowali czas na dłuższą pogawędkę. Złomiarz uwielbiał opowiadać przeróżne niewiarygodne historyjki, rzekomo z własnej przeszłości, czasem śmieszne, czasem smutne czy przerażające, ale nigdy nudne. Niekiedy powtarzał się, a wtedy chłopcy wyłapywali różnice pomiędzy kolejnymi wersjami tej samej opowieści i wytykali mu je – ale stary się nie peszył. Dalej snuł swoją dziwną gawędę, mrużąc oczy i ćmiąc połówkę papierosa z odłamanym filtrem. Było w tych urzekających wspomnieniach wszystko to, czego akurat brakowało w codziennym życiu: bitwy i huczne zabawy, krwawe rzezie i dalekie wyprawy odkrywcze, władcy i żebracy, wielkie miłości i podłe zdrady.

Chłopcy przypuszczali, że stary dziwak po prostu miesza wątki z różnych przeczytanych w młodości książek i doprawia je własnym konceptem, nie protestowali jednak. Dla dobra sprawy udawali, że wierzą w każde słowo.

Zbiegli ze skarpy i obstąpili go półkolem.

– Ma pan dzisiaj farta, panie Heniu – poinformował Karoten. – Ktoś zniósł do zsypu pralkę. Pewnie ciężka jak diabli, pomożemy załadować.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż sądzili. Jakoś zdołali wytaszczyć pralkę z ciemnej komory zsypowej, a potem dalej, po kilku schodkach na górę, lecz rychło okazało się, że nie są w stanie dźwignąć jej wystarczająco wysoko, aby wylądowała na wózku. Kombinowali długo, wreszcie postawili wózek na sztorc, dyszlem do góry, przytrzymali we dwóch, a Szufla objął pralkę zapaśniczym chwytem,

naparł z całych sił i centymetr po centymetrze wepchnął tam, gdzie powinna się znaleźć.

Przewrócili wehikuł z powrotem na koła, otrzepali dłonie, zgrzani i zadowoleni z siebie.

– Wielkie dzięki. – Staruszek oszacował zdobycz okiem znawcy. – Sam nie dałbym rady, zarobek przeszedłby koło nosa.

– Drobiazg – odpowiedział za wszystkich Szufła, chociaż piekły go zdarte do krwi palce.

– Jesteście fajne chłopaki. Chciałbym się wam odwdziaczyć.

– Naprawdę nie ma o czym mówić, panie Heniu. – Pawian, krzywiąc się, rozmasował obtłuczone zębra.

– Dla mnie jest. Co mogę dla was zrobić?

Czekał przez chwilę, a gdy milczeli zakłopotani, niespodziewanie przestał się uśmiechać.

– Rozumiem. Myślicie sobie: czego można oczekiwać od takiego obdartego dziadygi.

Karoten odchrząknął nerwowo, bo z grubsza tak właśnie pomyślał.

– Może pan opowie coś ciekawego? – zaryzykował.

– Nie obrażaj mnie, synku. Opowieści macie u mnie za darmo.

Sytuacja zrobiła się niezręczna. Chłopcy mieli wprawdzie zrozumienie dla tego rodzaju długów honorowych, ale brakowało im pomysłu, jak wybrnąć z impasu, nie uraziwszy staruszka. Spoglądali na siebie ukradkiem, przestępując z nogi na nogę, a przedłużająca się cisza ciążyła im coraz bardziej. Czuli na sobie chmurny, wyczekujący wzrok pana Henia.

Nagle Pawian podniósł głowę, jego ubłoconą twarz rozjaśniło natchnienie.

– Śnieg! – oznajmił. – Potrzebujemy śniegu.

Karoten jęknął żałośnie, Szufła zaczął metodycznie przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu jakiegoś zapomnianego batonika.

Pan Henio nie wybuchnął gniewem, z namysłem potarł bulwiasty nos o lekkim odcieniu fioletu.

– Śnieg, powiadasz – upewnił się. – Taki zwyczajny?

Pawian promieniał; wciąż jeszcze nie zorientował się, że obrał kurs na ślepą uliczkę.

– Tak, tak! Śnieg, dużo śniegu. I mróz, żeby nie stopniał na drugi dzień.

– Czy to życzenie was wszystkich?

Szufła wzruszył ramionami, Karoten bąknął coś niewyraźnie.

Do Pawiana dotarło wreszcie, że posunął się o jeden wygłup za daleko. Poskrobał się niepewnie za uchem, główkując, jak załagodzić skutki niewczesnego żartu, gdy nagle staruszek klasnął energicznie w dłonie.

– Ha! Dziwne macie zachcianki, ale niech będzie.

Spodziewali się wszystkiego, jednak te słowa całkiem zbiły ich z tropu. Nie wiedzieli, jak zareagować, nawet Pawian tylko niemo poruszył ustami niczym wyjęta z wody ryba. Jeżeli pan Henio podjął grę i odpłacał im po prostu kpina za kpinę, nie zdradził tego choćby drgnieniem powieki. Wyglądał na człowieka, który świadom jest wagi swojej obietnicy i zamierza sumiennie się z niej wywiązać.

– Co pan ma na myśli? – zapytał ostrożnie niepoprawny marzyciel.

– Trzeba wpłynąć na pogodę.

– Dawniej w Moskwie na pierwszego maja odrzutowce rozpędzały chmury. – Karoten nie potrafił odmówić sobie przyjemności zabłyśnięcia erudycją.

– Cóż za toporna metoda! – Staruszek prychnął lekceważąco. – Z naturą nie można walczyć, trzeba ją obłaskawić tak jak dzikie zwierzę.

– I pan to potrafi?

– Naturalnie. Za młodu parę lat spędziłem w polarnej dziczy. Miejscowy szaman polubił mnie, a z czasem wtajemniczył w arkana zaklinania pogody.

Pawian odetchnął z widoczną ulgą. Wyglądało na to, że ambicjonalny spór, który niechcący zaognił, sam wygaśnie uśmierzony kolejną nieszkodliwą fantazją stałego bywalca punktów skupu złomu.

– Śmiało, niech pan mówi – zachęcił. – Czarna magia to moje hobby.

Eksplorator śmietników zadumał się głęboko, zastukał połamany paznokciem w obudowę pralki, a potem zrzucił z pleców worek, rozsypał i zanurzył w nim rękę aż po łokieć. Chłopcy wiedzieli, że przez lata zgromadził tam sporą kolekcję najdziwniejszych akcesoriów, którymi usiłował dowodzić własnej prawdomówności: wielki, zaśniedziały klucz, rzekomo od zamkowego skarbcza, albo kolec ze smoczego grzbietu; obok tych cudowności trafiały się prozaiczne niedopałki papierosów, zgniecione puszki po piwie czy zacerowana na pięcie skarpeta.

Tym razem szperał wyjątkowo długo, ale wreszcie wygładziły się frasośliwe bruzdy na jego czole.

– Jest! – zawiesił głos dla spotęgowania efektu, a potem dokończył uroczystym tonem: – Szamański bębenek.

Bez entuzjazmu obejrzeli nieskomplikowany instrument: pociemniała skóra, okrągła drewniana obręcz, wokół niej kitki barwionej sierści.

– Prawdziwy? – zainteresował się Karoten rzeczowo, przecierając chusteczką okulary.

– Autentyk. Przecież nie wciskałbym wam podróbki. Takiego egzemplarza nie mają w żadnym muzeum. Biercie i niech wam dobrze służy.

Jakoś nie kwapili się do przyjęcia podarunku. Rzeczywiście mógł mieć jakąś wartość, a przecież panu Heniowi przydałby się każdy grosz. Nie chcieli w ten sposób wykorzystywać jego lekceważącego stosunku do kwestii dóbr materialnych, ale gdy chrząknął znacząco i zmarszczył się we brwi, Pawian niechętnie wyciągnął rękę.

– Śliczny – mruknął. – Do kompletu brakuje tylko pelerynki z wilczej skóry i naszyjnika z pazurów tygrysa. –

W porę dostrzegł zafrasowane spojrzenie staruszka i dodał szybko: – Tylko żartowałem. Naprawdę można tym zmienić pogodę?

– Jasne. A jeśli któryś z was przyłoży się i nie zabraknie mu wyobraźni, bębenek otworzy wam drogę do całkiem innego świata. Dawniej często odbywałem takie wyprawy, nie trzeba do tego pieniędzy, paszportu ani biura podróży. Teraz już jestem za stary.

Pan Henio zawiesił wór na plecach, poprawił czapę i stękawszy, dźwignął dyszel wózka.

– Bywajcie, chłopaki. – Drobnymi kroczkami ruszył na przód. – Bawcie się dobrze. Zobaczycie, jak wiele może zdziałać wyobraźnia.

Zaledwie zniknął za rogiem, Szufła wzdrygnął się, jakby tknięty złym przeczuciem.

– Co zrobimy z tym rupieciami?

Pawian obrócił w dłoniach kłopotliwy dowód wdzięczności zbieracza złomu.

– Wyrzaśnijmy skądś kobzę i gęśle, założymy kapelę i będziemy grać muzykę etniczną.

– To byłaby profanacja – zaproponował Karoten z powagą. – Gra na rytualnym instrumencie ma ułatwiać duchową podróż do innych światów.

– Przecież i tak nie wiemy, jak go używać, pan Henio nie zostawił instrukcji obsługi.

– Widziałem kiedyś taki program o szamanach. Musimy ostro pościć przez parę dni, a potem odurzyć się grzybkami halucynogennymi i przetańczyć nago całą noc.

– Taak... – przeciągnął Pawian sceptycznie. – Filmik z takiego występu zrobiłby furorę w necie.

– Czego się czepiasz? Szamani tak robią.

– Lepiej chodźmy już do domu. – Szufla zainterweniował w ostatniej chwili, bo kłótnia znowu wisiała na włosku. – Jutro pomyślimy, co z tym zrobić.

Pawian wzruszył ramionami, od niechcenia uderzył bębenkiem w kolano. Rozległ się suchy, pusty dźwięk, odbite od ściany bloku echo dobrzmiewało gdzieś nad błotnistym trawnikiem.

Chłopcy na kilka sekund zamarli bez ruchu, jakby naprawdę spodziewali się, że użycie bębenka spowoduje jakąś zmianę.

– Dziwne – mruknął Szufla i głośno przełknął ślinę. – Zatkąły mi się uszy.

– Zaraz ci odetkam! – Pawian skwapliwie stuknął go bębenkiem w czoło. – Lepiej?

– Trochę brzęczy. – Rosły szczypiornista przezornie uchylił się przed kolejnym uderzeniem. – Wystarczy! Nie podoba mi się to.

– Dlaczego? Poczuj bluesa, bracie! – Pawian wystukał palcami na napiętej skórze instrumentu rytmiczną sekwencję.

Karoten złapał go za rękę, przerywając ten improwizowany koncert.

– Chyba naprawdę coś jest nie tak.

– Będzie lepiej, kiedy poćwiczę.

– Nie o to chodzi. – Rudzielec wskazał drżącym palcem niebo. – Popatrzcie.

Tamci dwaj równocześnie zadarli głowy.

Krążące nad osiedlem stado wron znikło, w zasięgu wzroku nie pozostał ani jeden ptak. Zrobiło się niezwykle cicho, do chłopców nie docierał teraz nawet szum ruchu ulicznego z pobliskiej dwupasmówki. Przestało mżyć, uspokoił się także porywisty wiatr, a jednak pod nieboskłonem szybko sunęły zwały niskich, bardzo gęstych chmur, gasząc nieliczne prześwity słonecznego blasku.

– Paskudnie to wygląda. – Szufla wcisnął do kieszeni zgrabiące dłonie; w jego głosie pojawiło się więcej piskliwych tonów niż zwykle. – Chyba zbiera się na burzę.

Pawian się roześmiał, ale ponieważ wyszło to jakoś niewesoło, umilkł szybko.

– Dobrze to sobie wszystko wykombinował, stary cwan-
niak! – Rzucił ponure spojrzenie na narożnik budynku, za którym niedawno zniknął wózek pana Henia. – Pewnie strzykało mu w kościach na zmianę pogody, w jego wieku czuje się takie rzeczy. Naopowiadał bzdur, żeby nas postraszyć.

– No nie wiem, nie wiem... – Karoten głębiej naciągnął kaptur. – Chyba oziębiło się trochę?

– We łbie ci się oziębiło! – huknął rozdrażniony Pawian.

Okularnik skrzywił się nieznacznie, czubkiem buta dotknął powierzchni kałuży na chodniku – pod naciskiem cicho trzasnęła lodowa skorupka.

– Teraz wierzysz? – Pociągnął nosem, urażony. – Kiedy wrzeszczysz, z ust leci ci para.

– No więc oziębiło się, i co z tego? – Pawian nie mógł dłużej zaprzeczać oczywistym faktom, tym bardziej że w przemoczonym ubraniu z każdą chwilą marzył coraz bardziej.

– Nic. Ale w prognozie pogody o tym nie wspominali.

– Bo tak naprawdę oni niczego nie potrafili przewidzieć. Zgadują, a jak się nie sprawdzi, zwalają na zmiany klimatyczne.

– Możliwie. – Karoten dociągnął zamek bluzy pod samą szyję. – W każdym razie jest zimno.

Szufla uderzył piętą w środek kałuży, ale tym razem lód nie ustąpił tak łatwo, na zgrubiałej tafli pojawiła się tylko pajęczyna pęknięć. Chciał kopnąć mocniej, gdy nagle koło nosa zawিrował mu biały płatek. Wyciągnął rękę; na otwartą dłoń cicho spływały śnieżynki, topniejąc po chwili w zetknięciu z ciepłem skóry.

– Nie graj więcej – powiedział niegłośnie, ale z naciskiem.

Pawian zaczął szczekać zębami. Usiłował stłumić ten kompromitujący objaw, ale szczękościsk bardzo utrudniał mówienie, w rezultacie jego słowa co rusz przerywał szybciotki werbelek.

– Co z tobą? – zwrócił się do szczypiornisty. – Dałeś się zastraszyć jak mała dziewczynka! Rozumiem, że Karoten uwierzył w to szamańskie czarowanie, bo jemu łatwo wmówić każda głupotę, ale ty? Zawsze myślałem, że jesteś rozsądny.

– W zasadzie jestem, ale... – Szufla zawstydzził się widocznie, przytupnął kilka razy dla rozgrzewki i żeby zyskać na czasie. – Trochę niesamowity ten zbieg okoliczności, nie uważasz?

– Jeszcze chwila, a zaczniecie bredzić o planetnikach i Królowej Śniegu!

Wściekły na kolegów, na pana Henia i na wszystkich meteorologów świata Pawian zaczął walić pięścią w bębenek z taką zawziętością, jakby chciał zrobić w nim dziurę. Szufla spróbował mu przeszkodzić, ale na widok tej ślepej furii rozłożył tylko bezradnie ręce.

– Przestań... – poprosił niemal błagalnie.

Obaj z Karotenem czuli, że dzieje się coś niedobrego. Powietrze zgęstniało, utrudniając oddychanie, zaraz potem nisko nad ziemią przemknął silny podmuch, wzbijając kurzawę świeżo spadłego śniegu. Mróz palił twarze, ubrania zbieleły od szronu, drętwiały palce u stóp – jednak Pawian zdawał się tego wszystkiego nie zauważać niczym prawdziwy pogrążony w ekstazie szaman, który ośmielił się naruszyć granicę innego świata. Z zamkniętymi oczami wydobywał z bębena jakiś niespokojny, rwanym rytmem, którego nie mógł zagłuszyć nawet wzmagający się świst wiatru. Prerażeni słuchacze mieli wrażenie, że te dźwięki budzą gdzieś w kłębowisku chmur głuche echa grzmotów.

Raptem spadł na nich z wysoka przerażający rumor, od którego wyraźnie zadrżała ziemia. Wydawało się, że niewidoczne zza chmur niebo rozdarło się, a przez gigantyczną szczelinę wdarł się lodowaty, rozszałały huragan. Nie zdążyli nawet pomyśleć o ucieczce, wicher przewrócił ich i przyduśił do ziemi. Choć leżeli blisko siebie, w szarej, gęstej zamieci jeden drugiego nie widział. Momentalnie zrobiło się niemal tak ciemno jak po zachodzie słońca. Przeciągły świst nie przycichał ani na chwilę, czasem zawodząc wysoko i przenikliwie, czasem warcząc jak dzikie zwierzę. Mróz kąsał przez bluzy i swetry, kłujące drobinki

lodu wciskały się pod kaptury. Wściekła burza polarna rozpętała się nad nimi w całej swojej grozie, przenikając lodowatym tchnieniem nie tylko ciała, ale i myśli.

Po paru minutach zaczął przysypywać ich śnieg. Pod osłoną nawarstwiającego się białego kożucha było nieco cieplej, przytłumione wycie zamieci nie budziło już takiego strachu. Głos bębna umilkł chyba wreszcie, ale wspomnienie opętańczego rytmu wciąż jeszcze pulsowało w skroniach.



Karoten śnił o puchowej kołdrze, miękkiej poduszce i swoim ulubionym jaśku w kwiatki. Wiedział, że są ferie i nie musi zrywać się do szkoły, ale coś wyrывało go z błogich objęć Morfeusza. Przenikało go dotkliwie zimno, a gdy spróbował okryć się szczelniej, nie zdołał wykonać najmniejszego ruchu. Ocknął się natychmiast bliski pani-ki, lecz koszmar wciąż trwał. Nic nie widział; poczuł się tak, jakby mrok ścisnął go w lodowatych okowach. Chciał zawołać o ratunek, ale nawet to okazało się zbyt trudne. Krztusił się i parskał, głos wiązał mu w krtani, zaczynało brakować oddechu. Serce o mało nie rozsadziło piersi, z zakamarków pamięci wychynęły wszelkie zasłyszane kiedykolwiek bzdurne historie o nieszczęśnikach pogrzebanych żywcem.

Minęło kilka niewiarygodnie rozciągniętych sekund, nim wreszcie usłyszał szelest pośpiesznie odrzucanego śniegu. Jeszcze chwila i przygniatająca go ciemność rozstąpiła się, przepuszczając słaby blask dnia i mroźne powietrze.

– Cały jesteś? – W górze ukazała się zaróżowiona z emocji i wysiłku twarz Szufli.

– Chyba... Chyba tak.

Na czworakach, przy pomocy kolegi, który ciągnął go za kaptur, Karoten jakoś wydobył się z głębokiej jamy. Zmrużył oczy przed jasnością rozproszoną w bardzo gęstej mgle. Odpoczywał przez chwilę, rozkoszując się swobodnym oddechem. Nie chciało mu się wstawać z miejsca, ale gdy zobaczył, że Szufla gorączkowo rozgrzebuje sąsiednią zaspę, sapnął i ruszył mu z pomocą, nie zadając żadnych pytań.

Nie czuli dłoni, gdy udało im się wreszcie odkopać opancerzony zamrożonym błotem but Pawiana. Z grubszą zorientowali się, gdzie powinna być głowa, i ze zdwojoną energią podjęli akcję ratunkową. Chociaż nie zamienili ze sobą nawet słowa, obaj zdawali sobie sprawę, jak droga jest każda sekunda.

W końcu odsłoniли sinoszarą twarz kolegi, z powiekami zalepionymi śniegiem i zaciśniętymi zbielełymi wargami. Szufla położył się na brzuchu, wsunął głowę do wykopu. Pełen niepokoju Karoten pociągnął go za nogawkę.

– Co z nim?

– Makabreska! – Głos dryblasa zadudnił, jak w beczce.

– Nieprzytomny.

– Oddycha?

Tym razem cisza trwała dłużej, Karoten spocił się pomimo zimna.

– Tak, ale bardzo powoli – odpowiedział wreszcie tamten, wycofując się znad dziury. – Dzwon na pogotowie!

Rudzielec złapał telefon, kilkakroć wduślił kciukiem przycisk, ale wyświetlacz się nie rozjaśnił.

– Chyba padła bateria! – jęknął. – Spróbuj ty!

– Przecież wiesz, że nie mam komórki. A Pawian zgubił swoją dwa dni temu, ojciec jeszcze nie kupił mu nowej.

Znowu gorączkowo rzucili się do pracy, odgarniając wielkie zwały śniegu; zbite grudy wciskały się głęboko pod zeszywniałe rękawy. Co chwilę któryś z nich podnosił głowę, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie przechodzi ktoś dorosły, ale w zbitej mgle nic nie mogli dostrzec dalej niż na pięć kroków. Musieli radzić sobie sami, i to szybko, bo Pawian wyglądał naprawdę źle.

Wywlekli go wreszcie z mozołem na górę, otrzepali z grubsza, dźwignęli za ręce i nogi.

– Może to sen szamański – zasugerował Karoten. – Podobno niektóre obrzędy magiczne mogą wyczerpać wszystkie siły.

– To coś groźnego?

– Chyba nie, powinien w końcu sam się obudzić.

– Zabierzmy go stąd. Musi go obejrzeć lekarz.

Próbowali biec, ale rychło przekonali się, że w tak głębokim śniegu nawet powolny marsz stanowi nie lada wyzwanie. Parę razy ugrzęźli w zaspach po uda, musieli się cofać i szukać dogodniejszego przejścia. Bezwładny Pawian wyslizgiwał im się ze sztywniejących palców, mróz wbijał w skórę swoje niewidzialne szpileczki.

Gdy pokonali z mozołem kilkadziesiąt metrów, Szufła padł na kolana i bezradnie pokręcił głową.

– Straciłem orientację! Chyba poszliśmy w złą stronę.

Karoten rozejrzał się w popłochu. Przecież nawet w tak gęstej mgle powinni dostrzec chociaż zarys dziesięciopiętrowego budynku! W głowie zatrzepotały mu znowu najgorsze obawy, od których aż robiło się słabo.

– Zaczekaj tu. – Ostrożnie położył nogi Pawiana na śniegu. – Sprawdzę, jak to wygląda.

Skierował się w lewo, z trudem wrywając buty z grząskiej bieli. Starannie odliczył sto kroków, celowo nie pod-

nosząc głowy, żeby przedwcześnie nie zderzyć się z brutalną prawdą; dopiero na końcu zatrzymał się i rozchylił brzegi naciągniętego na twarz kaptura.

Nic!

Wokół wisiała nieporuszona, cicha, wroga mgła.

Mimo woli wyobraził sobie, że pozostał w tej pustce całkiem sam, i ciarki przeszły mu po plecach. W panice, kicając jak ścigany zając, wrócił po własnych śladach. Zwolnił dopiero na widok wyłaniającej się z oparu sylwetki szczypiornisty.

– Wszędzie to samo! – wydyszał. – Spróbuję jeszcze w drugą stronę...

– Daj spokój, to nie mam sensu. Zgubiliśmy się.

– Nie można zgubić się pośrodku osiedla!

– Skąd pewność, że ciągle jesteśmy na osiedlu? – Szufla zadał rzeczowe pytanie, a ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, ujął dłoń Pawiana i zaczął ją mocno rozcierać. – Czego tak stoisz? – mruknął. – Bierz się za drugą rękę, żeby nie odmroził sobie palców.

Karoten opanował się, w działaniu łatwiej mu było utrzymać nerwy na wodzy. Długo ogrzewał dłoń nieprzytomnego chłopca, aż w końcu wydało mu się, że bezkrwiste opuszki palców poróżnowiały lekko.

– Oddycha spokojniej – szepnął, jak przy śpiącym. – Żeby tylko ktoś szybko nas znalazł.

Na moment spotkali się wzrokiem, ale to krótkie spojrzenie nie pokrzepiło żadnego z nich. Szufla westchnął, otarł rękawem ciekący nos i odezwał się, bardzo starannie dobierając słowa:

– Lepiej nie licz na zbyt wiele.

– O czym ty mówisz?

– Sam pomyśl. Nie widać bloków, nic nie słysząc, absolutna cisza. Jak na odludziu. Wątpię, czy w pobliżu jest ktoś, kto mógłby nam pomóc.

– To idiotyzm! Takie rzeczy się nie zdarzają...

Dryblas tylko wzruszył ramionami.

Karoten poderwał się, odbiegł parę kroków w bok i przyłożywszy dłonie do ust, zaczął krzyczeć. Wołał długo, od czasu do czasu zanosząc się kaszlem, potem nasłuchiwał z przekrzywioną głową, ale znikąd nie dobiegł najślabszy choćby odzew. Podał się wreszcie, kiedy ochrypl do reszty; wbił ręce w kieszenie i wrócił, zataczając się ze zmęczenia.

– Coś schrzaniliśmy – stwierdził chmurnie.

– Chyba tak.

– Kiedy spotkam pana Henia, tak mu nabluzgam, jak jeszcze nigdy nikomu!

– Najpierw musimy przeżyć, a to jeszcze nic pewnego

– Szufla przywołał go do rzeczywistości.

Okularnik wysapał resztki gniewu, skulił się z zima i bezsilności.

– I co teraz zrobimy?

– Musimy iść.

– Dokąd?

– Wszystko jedno. Jeśli przestaniemy się ruszać, zamrzniemy. – Chwycił Pawiana pod pachy, tak jak przedtem. – No, dalej. Może nie będzie tak źle.

A jednak było.

Wszelkie relacje z antarktycznych wypraw Shackletona, Scotta i Amundsena, które Karoten czytywał z wypiekami na twarzy, raptem stały się zatrwajająco aktualne. Zrozumiał poczucie osamotnienia, jakie dręczyło polarników w bezkresnej pustce, gdy nie ma na czym zawiesić

wzroku, i pomimo heroicznych wysiłków wcale nie wygląda na to, że drogi ubywa.

Musieli walczyć o każdy krok, brnąć między zaspami, podczas gdy Pawian jakby przybierał na wadze. Nie wiedzieli, jak długo już trwa mordęga – nie mogli sprawdzić godziny na rozładowanej komórce, a słońce tonęło we mgle – lecz jeszcze gorsza była niepewność, czy ta wędrówka kiedykolwiek zakończy się w jakimś zadaszonym, ciepłym miejscu, gdzie wreszcie będą mogli odpocząć.

Pod bluzami mieli tylko liche sweterki, na nogach lekkie sportowe buty. Na szczęście nie było wiatru, ale i tak bez czapek, szalików i rękawiczek marzli strasznie.

– Nie dam rady... – poskarżył się Karoten nieswoim, skrzypiącym głosem.

– Wytrzymaj, stary! – wydyszał Szufla przez ramię, nie zatrzymując się. – W końcu gdzieś dojdziemy.

– Na przykład gdzie?

– Wszystko jedno. Tu nie możemy zostać.

– A jeśli wszędzie jest tak samo?

– Wtedy będziemy się martwić. Ale żeby to sprawdzić, musimy iść.

– Jestem głodny! Nic nie jadłem od śniadania. Wiesz, ile kalorii potrzeba przy takim wysiłku?

– Mniej gadaj, to zaoszczędzisz na kaloriach – odparował zniecierpliwiony szczypiornista, który już od dłuższego czasu snuł skryte fantazje na temat automatu z batonikami.

Powlekli się więc dalej, jeden nadąsany, drugi zamyślony. Mróz chyba jeszcze przybrał na sile, mgła osiadała na ubraniu białym nalotem szadzi. Pawian wciąż nie odzykiwał przytomności. Od czasu do czasu poruszał zaskorupiałymi wargami, jakby próbował mówić, ale udawało mu się wydobyć tylko jakieś żałosne, niezrozumiałe dźwięki.

Niedługo potem zszarzał śnieg, u podnóży zasp skupiły się cienie. Mgła wreszcie zaczęła rzednąć, smugi oparu z wolna ulatywały w niebo. Z boku, znad niebieskawego, nagiego horyzontu mignęła czerwień zachodzącego słońca.

– Zaraz będzie ciemno! – Karoten rozejrzał się szybko po sfałdowanym zaspami pustkowiu. Coś w oddali przyciągnęło jego uwagę, czarna skaza na tle śniegu. Wyciągnął w tamtą stronę ramię. – Co to może być?

Szufla przyglądał się przez chwilę, osłaniając oczy dłonią przed ukośnym, gasnącym szybko blaskiem.

– Pewnie jakieś skałki – wyraził ostrożną opinię. – Dobrze i to. Przynajmniej będzie jako taka osłona, gdyby po zachodzie słońca znowu zaczęło wiać.

– Chcesz tam nocować?

– Przykro mi, ale nie stać nas na hotel – odparował cierpko. – Potraktuj to jak wypoczynek na łonie natury.

Dotarli na miejsce już w mroku, gdy na niebie zaczynały pełgać przyćmione resztkami mgły gwiazdy. Skała z bliska okazała się dość wysoka i urwista, spod śnieżnej czapy u góry zwisały kilkumetrowe sople. Zakątek wcale nie robił przytulnego wrażenia, ale otępieiałym z zimna i wyczerpania chłopcom właściwie było już wszystko jedno.

Karoten usiadł w śniegu, oparł plecy o pionową ścianę i bezmyślnie zapatrzył się w niebo.

– Obejdę to dookoła, może znajdę jakąś szczelinę albo nawis. – Szufla objawił nieco więcej energii. – Pilnuj Pawiana.

– Po co? Nigdzie się nie wybiera – rzucił okularnik w ślad za oddalającymi się krokami.

Tamten wrócił szybko, bardzo podekscytowany, wydmuchując przez nos kłęby pary.

– Po drugiej stronie jest jaskinia! – obwieścił radośnie.
– Zmieścimy się tam we trzech i jakoś przetrwamy do rana.

Karoten nie odpowiedział, wciąż siedział nieporuszony w tej samej pozycji.

– Nie oczekuję zachwytów, wystarczy skromne dziękuję – mruknął dryblas nieco urażony, a gdy tamten nadal milczał, przykucnął i przyjrzał mu się badawczo. – No, co z tobą?

Karoten bardzo powoli uniośł rękę, celując wskazującym palcem w przestworza.

– Gwiazdy... – szepnął.

– Rzeczywiście, śliczne. – Szufla omiótł nieuważnym spojrzeniem niebo. – Będziesz teraz kontemplować widoki czy może jednak skupisz się na tym, jak przeżyć tę noc?

– Nie, nie! Przypatrz się dobrze. Nie ma go!

– Nie ma czego?

– Wielkiego Wozu! – wykrzyknął rudzielec ze zgrozą.

– Ani Małego. Ani Kasjopei. Ani Smoka. Ani...

– Wystarczy! – zdeorientowany dryblas wykonał gest odpędzania natrętnej muchy, zerknął jednym okiem w górę. – Nigdy nie byłem mocny w astronomii. Jesteś tego pewien?

– Absolutnie! To jakieś inne niebo. A tam, nad horyzontem... Sam zobacz.

Właśnie wschodził bliski pełni księżyc. Wydawał się dwa razy większy od tego, do którego chłopcy przywykli, pozbawiony plam, złoty jak drogocenna taca; świecił tak intensywnie, że patrząc na niego, trzeba było mrużyć oczy, a śnieg zaczynał się skrzyć niby obsypany brokatem.

Szufla medytował nad tym przez chwilę, stukając paznokciem po zębach, lecz ponieważ nie udało mu się w za-

den sposób uchwycić praktycznej strony tego niezwykłego odkrycia, wzruszył ramionami i wstał.

– Wszystko ma swoje plusy. Zapowiada się jasna noc, a jeśli wystarczy nam czasu, będziemy mogli ponadawać nazwy całkiem nowym gwiazdozbiorom. – Schylił się po Pawiana. – Tymczasem zajmijmy się bardziej przyziemnymi sprawami.

Wejście do pieczary było tak niskie, że musieli wpełzać do środka na czworakach, a potem wciągnąć nieświadomego kolegę za ręce, lecz dalej, gdy pokonali już ciasną, wznoszącą się gardziel, natrafili na dość przestronną komorę, gdzie mogli nawet stać z pochyłonymi głowami. Było sucho, ciemno jak w grobie i trochę cieplej niż na zewnątrz. Po omacku umościli się jakoś w zaokrąglonym kąciku. Nie kładli się, tylko przycupnęli z kolanami pod brodą, usadziwszy Pawiana między sobą. Niefortunemu bębniarzowi głowa opadła na piersi i niebawem zaczął nawet pochrapywać z cicha.

Dopiero teraz, gdy powoli wyparowywał z nich trud długiego marszu, chłopcy odczuli boleśnie, jak bardzo są poobijani, przemarznięci, głodni i spragnieni. Dopóki zmagali się z przeciwnościami śnieżnego bezdroża, zagubieni we mgle, nie mieli wiele czasu na rozmyślanie, jednak nocą zaczęły wpełzać do pieczary wszystkie najgłębiej tajone strachy. Pomimo ogromnego zmęczenia nie mogli zasnąć, ale nie rozmawiali, pogrążeni w smętnej zadumie. Mocno tęsknili za bliskimi, choć przecież rozłaka nie była jeszcze długa. Wyobrażali sobie, co w tej chwili dzieje się w rodzinnych domach, czy już zawiadomiono policję o ich zniknięciu. Zastanawiali się, czy pan Henio odgadnie, co zaszło, i czy znajdzie sposób, żeby sprowadzić ich

jakoś z tej krainy zimy, gdzie wszystko wydawało się obce i niezrozumiałe, nawet niebo.

W końcu popadli w jakieś beznadziejne odrętwienie, które tym różniło się od snu, że ani na moment nie pozwalało zapomnieć o zimnie i głodzie. Nad samotną skałą znowu wzmógł się wiatr, zawodząc przeciągle w szczelinach i załomach; chwilami te odgłosy przypominały płacz albo diabelski chichot. Obrosłe przez dzień szronem bluzy tajały teraz, po plecach spływały swędzące strużki wilgoci. Trzęśli się na przemian i zastygali w bezruchu, odliczając czas do brzasku, po którym nie mogli przecież obiecywać sobie niczego lepszego.



Szufla ocknął się z półsennego otępienia, gdy poczuł mocne uszczyknięcie w ucho.

– Łapy przy sobie! – warknął.

– Cicho! – syknął Karoten ostrzegawczo. – Słyszałeś to?

Wstrzymał oddech, ale z zewnątrz dobiegały tylko nieustanne poświsty, co jakiś czas kamienny szaniec drżał pod mocniejszym uderzeniem wichury.

Miał już zamiar obsobaczyć kolegę, gdy nagle dosłyszał skrzypnięcie śniegu przed wejściem do jaskini, i znowu, a po chwili ciszy jakiś inny odgłos, który niepokojąco przypominał węszenie.

– Zwierzę, i to duże... – tchnął Karoten bojaźliwym szeptem. – Chyba wleźliśmy mu do legowiska.

Było już za późno na ucieczkę, wszelkie gwałtowne działania mogły tylko pogorszyć sprawę. Podciągnęli stopy, wsparli się plecami o skałę i chłonąc szeroko otwartymi oczami ciemność, oczekiwali nieuniknionego.

Gospodarz pieczary czołgał się teraz w górę kamiennej gardzieli, pochrzäkując i mlaskając; wyraźnie było słyszeć skrobanie pazurów. Napłynęła gęsta, ostra woń sierści i buchającej ciepłem skóry, zaraz potem chłopcy, kuląc się z przestachu, poczuli na twarzach gorący, cuchnący oddech.

Mieli pełną świadomość tego, że właśnie podlegają kluczowej dla dalszego rozwoju wypadków ocenie – pod względem zagrożenia, jakie stwarzają, a pewnie i przydatności do spożycia. Usilnie starali się wypaść jak najbardziej pokojowo i możliwie mało apetycznie.

Po nieznośnie długiej ciszy ciężkie cielsko zważyło się na podłogę. Niewidoczny w mroku zwierz czochrął się jeszcze przez chwilę, pomrukiwał, szukając najwygodniejszej pozycji do snu, w końcu przetoczył się na bok, przyciskając nieproszonych gości do ściany, i znieruchomiał.

Wyczuwali powolne uderzenia potężnego serca, słyszeli miarowe posapywanie, ale nie mieli odwagi spróbować ucieczki, odezwać się ani nawet głośniejszemu odetchnąć. Choć tkwili w pułapce, bezsilni i zatrwożeni, nadmiar emocji oraz ciepło futrzastego ciała bardzo szybko zrobiły swoje; już po paru minutach zmorzył ich sen.



Szufla obudził się pierwszy. Rozprostował zdrętwiałe nogi, ziewnął, a potem zerwał się gwałtownie, uderzając głową w sklepienie. Hałas wyrwał z niespokojnej drzemki Karotena, który nasłuchując w ciemnościach, usiłował nawiązać kontakt z rzeczywistością.

– Co się stało? – zapytał lękliwie.

Dryblas roztarł dłonią nabrzmiewający na ciemieniu guz i znowu się wyprostował, tym razem bardzo ostrożnie.

– Zniknął – zakomunikował ponuro.

Rudzielec wciągnął w płuca świeże powietrze, które napływało od strony przewężenia.

– To świetnie! Pryskajmy, zanim wróci.

– Nie mówię o... – zająknął się – o tym czymś. Chodzi o Pawiana.

Karoten natychmiast na czworakach obszedł całą pieczarę w płonnej nadziei, że oszołomiony kolega odsunął się nocą gdzieś na bok, aby wyciągnąć się wygodniej. Natrafił palcami na jego zmiętą chusteczkę do nosa, nie pozostało po nim nic więcej.

– Myślisz, że ta bestia go... – Zabrakło mu odwagi, żeby dokończyć pytanie.

Szufla nie odpowiedział; opadł na kolana i ruszył do wyjścia. Karoten pospieszył za nim, raniąc dłonie na ostrych kamieniach zalegających podłoże. Nie chciał spędzić tutaj samotnie nawet sekundy.

U wylotu gardzieli załala ich jasność, biel śniegu aż kłuła w oczy. Czystego błękitu nieba nie mącił najmniejszy choćby obłoczek. Na wschodzie dźwigała się słoneczna kula, stwarzając złudzenie ciepła. Musieli odczekać jakiś czas, nim źrenice przywykły nieco do takiego nadmiaru blasku, a gdy wreszcie otarli łzy i rozejrzeli się, mrugając zaczerwienionymi powiekami, dostrzegli na śniegu dwa sznury tropów, które rozchodziły się od skały w przeciwnych kierunkach.

Szerokie łapy z delikatnym zarysem błony czy fałdy skórnej pomiędzy trzema palcami wcale nie odcisnęły się tak mocno, jak wskazywałyby na to ciężar zwierzęcia. O wiele głębsze wygniotły buty Pawiana, który stawiał bardzo nierówne kroki, często podpierając się albo padając.

– Nigdzie nie widać krwi ani żadnych śladów walki. – Szufla ze wzruszenia dostał rumieńców. – Zwierzę chyba wyszło najpierw, a Pawian dopiero później.

– Kiedy w ciemności odzyskał przytomność, chyba nie wiedział nawet, co się stało. – Karoten aż wzdrygnął się na samą myśl o takiej pobudce. – Pewnie jest w szoku. Musimy go jak najszybciej dogonić!

Pobiegli żwawo, przy każdym kroku podnosząc wysoko kolana. Słoneczne światło osiadające iskrami na stokach zasp dodawało im otuchy. Głód nie dokuczał teraz aż tak bardzo, czuli się za to lekutcy, niemal bezcieleśni. Zgrzali się nawet, porozzpinali bluzy, od czasu do czasu zwilżali zaschnięte gardła garsteczką śniegu. Bez mgły, bez chmur, bez wiatru okolica już nie wydawała się taka straszna, choć nadal męcząco monotonna. Parę razy mijali zręby czarnych, zagubionych w morzu bieli skał, na zachodzie siwiał łańcuch niewysokich wzgórz – to wszystko. Nie zwracali zresztą uwagi na krajobraz, zbyt pochłonięci wypatrywaniem sylwetki Pawiana gdzieś tam, na końcu zbieżności w potokach blasku krechy śladów. Musiał wyruszyć w drogę grubo wcześniej, może jeszcze przed świtem; martwili się, czy nie osłabł, nie ugrzązł na dobre w którejś z większych zasp albo czy jego świeży trop nie zwałił jakiegoś drapieżnika.

Ujrzeni go wreszcie z daleka – siedział w kucki, oparłszy brodę na dłoniach, nieśpiesznie kiwając się w przód i w tył. Krzyczeli, wymachiwali rękami, ale on nawet nie spojrzał w ich stronę, jakby bez reszty pochłonięty własnymi myślami. Przestali więc hałasować, zwolnili kroku i podeszli w milczeniu, wymieniając zaniepokojone spojrzenia.

Wyglądał bardzo mizernie – bladziutki, z podkrążonymi oczami i z ciemnogrnatowym siniakiem w okolicach

prawej kości policzkowej – lecz poza tym chyba nic mu nie było.

– Hej – rzucił niegłośnie, kiedy ucichły skrzypiące kroki chłopców. – Jesteście trochę za wcześnie.

Szufla tylko otworzył ze zdumienia usta, ale Karoten aż zatchnął się z oburzenia.

– Za wcześnie? – Wzniósł oczy, jakby brał niebiosą za świadka tej jawnej niewdzięczności. – Małośmy płuc przez ciebie nie wypłuli, a ty nas tak witasz?

– Nie krzycz, bo ją spłoszysz i nie wszędzie – udzielił Pawian oschłej reprimendy, nieprzerwanie wpatrując się w śnieg.

Karoten zmieszał się na moment, poszukał wzrokiem wsparcia u Szufla, a kiedy go nie uzyskał, z demonstracyjnym lekceważeniem zaplótł ramiona na piersi.

– Dobra, nie wtrącam się. Kiedy skończysz świrować, po prostu powiedz.

Ponieważ tamten milczał, dryblas przestąpił z nogi na nogę i niepewnie zatarł dłonie.

– Bądź rozsądny, stary – spróbował tonu przyjaznej perswazji. – Miałeś ostatnio przerwę w życiorysie. Trzeba trochę czasu, żeby wszystko na nowo poukładało ci się w głowie jak trzeba. Najgorsze za tobą. Teraz tylko...

– Ciii! – Pawian przestał się kiwać, położył palec na wargach, a po chwili westchnął z głębi piersi i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Jest! Wschodzi.

Teraz i oni dostrzegli maleńki, wąty, bladezielony kielik, który wypchnął ponad śnieg ostry koniuszek. Karoten od razu zapomniał o dąsach, pochylił się nisko, opierając dłonie na ugiętych kolanach.

– Ja cię kręcę! – szepnął w zachwyceniu. – To mi wygląda na jakąś roślinkę.

– I dobrze ci wygląda – potwierdził Pawian skinieniem głowy. – Pokazało się słoneczko, więc rośnie.

– Coś jak przebiśnieg?

– Aha. Tylko większe i ma owoce. Uważaj! Nie rzuć na nią cienia, bo zmarnieje.

Obaj świeżo przybyli chłopcy byli tak zafascynowani, że nie przyszło im nawet na myśl, aby zapytać, skąd Pawian czerpie tak ściśle dane na temat miejscowej flory. W skupieniu obserwowali błyskawiczny wzrost rośliny niczym na przyspieszonym filmie. Kiełek wbił się na kilkanaście centymetrów w górę, lekkimi wychyleniami koniuszka badając przestrzeń, zgrubiał na palec, nabrał intensywniejszej barwy. Śnieg wokół łodyżki zaczął topnieć, nad otworem drżała mgiełka oparu. Roślina wciąż pięła się ku niebu, ku słońcu, wyginając się nieco i prostując, jakby w ogromnym trudzie. Gdy sięgnęła chłopcom do kolan, wzdłuż łodygi od wierzchołka do nasady narzmiły guzki jasnych niby-pączków, a niedługo potem, kiedy wybujała na dobry metr, narośle – teraz wielkie jak piłeczki pingpongowe – eksplodowały serią cichych trzasków, odsłaniając lśniący, ciemnoczerwony miąższ. W mroźnym powietrzu rozszedł się słodki, odorujący, uwodzicielski zapach, od którego wszystkim zakręciło się w głowach.

– To by było na tyle. – Pawian wydłubał miękkie wnętrze owocu z szeleszczącej osłonki, w całości wsadził do ust i ze smakowitym mlaśnięciem przełknął sok. – Częstujcie się, panowie, bo za chwilę wszystko zamarznie.

– Nie zaszkodzi nam? – Karoten skubnęła odrobinę miąższu, powąchała, dotknęła językiem.

– Wykluczone. Owoce są pyszne i pożywne, inaczej nikt by ich nie zjadł, a bez tego ta roślina nie może się rozsiewać.

Pestki przechodzą przez układ pokarmowy, a kiedy... hm... – Pawian przez chwilę szukał odpowiedniego sformułowania – kiedy opuszczą go z drugiej strony, na trudny początek mają pod dostatkiem naturalnego nawozu.

Szufla, który tymczasem wybrał dla siebie dorodny owoc, wstrzymał rękę w połowie drogi do ust.

– A możesz bez takich szczegółów? – poprosił cierpko.

– Samo życie, stary. To, co dla ciebie jest odpadkiem, dla kogoś innego może być skarbem. – Przełknął ostatni kęs, poklepał się po brzuchu.

Zaskoczeni szeroką wiedzą Pawiana chłopcy popatrywali nań nieufnie, ale pokusa wypełnienia ssącej w żołądkach pustki okazała się nieodparta. Rozdzielili soczysty mięszs sprawiedliwie, na każdego wypadły po dwie pełne garście. Posiłek, chociaż nieprzesadnie obfity, zadziwiająco skutecznie zaspokoił ich apetyty. Oprócz sytości odczuli także łagodny szum w głowach i przypływ całkowicie nieuzasadnionego optymizmu, a nawet beztróskiej wesołości.

Pokrzepieni na ciele i duchu podjęli wędrówkę, pozostawiając ogołoconą łodygę, która szybko zszarzała, zwiędła, przechyliła się mocno i po chwili padła w śnieg.

Przez wiele godzin maszerowali bez wysiłku, nie przejmując się niczym, choć widoki na przyszłość nie zmieniły się przecież na lepsze. Czuli się jak na szkolnej wycieczce, kiedy o nocleg i wikt troszczył się za nich ktoś inny. Po drodze wykonali na śniegu dziesiątki artystycznie dopracowanych orłów, ulepili bałwana giganta, stoczyli żywiołową bitwę na śnieżki, a nawet w przystępie fantazji rzucali się głową naprzód w najgłębsze zasy. Pomimo takiego dokazywania posuwali się jakoś naprzód, choć żaden z nich nie zastanawiał się nad tym, dokąd właściwie

zmierzają. Liczyło się tylko to, że bawili się dobrze, nie cierpieli zimna ani głodu – o całą resztę nie dbali.

Późnym popołudniem Karoten zaczął zostawać nieco w tyle, a po pewnym czasie zatrzymał się.

– Muszę na stronę... – Rozejrzał się bezradnie, podreptał za najbliższą zaspę i tam przykucnął.

Szufla z Pawianem spotkali się wzrokiem; niemal jednocześnie odczuli ten sam nagłący zew natury.

Zeszli się ponownie po paru minutach. Teraz nikt już nie dowcipkował, wszyscy wyglądali na mocno skonfundowanych. Musieli wyjaśnić sobie nawzajem parę narzniętych kwestii, ale jakoś nikt nie miał ochoty pierwszy zabrać głosu.

– Czy u was... – Szufla odchrząknął, zakłopotany. – Czy u was też coś się ruszało?

– To chyba były pestki, takie maleńkie, czarne. – Karoten kręcił głową, jakby sam nie dowierzał własnym słowom. – Każda miała cieniutką, ruchliwą witkę.

– To normalne – uspokoił ich Pawian. – Za kilka dni pestki wkręcą się w śnieg, a potem głębiej, pod ziemię. W pierwszy bezchmurny, słoneczny poranek wykiełkują, wydadzą owoce i zwabią zapachem jakichś innych dawców nawozu.

Szufla poczerwieniał aż po białka oczu.

– Nie jestem żadnym dawcą nawozu! – wykrztusił. – Mogłeś nas otruć!

– Przecież mówiłem, że to tylko...

– Nie chcę tego słuchać!

Pawian zniósł ten wybuch zdumiewająco spokojnie, z lekka tylko zmarszczył nos i przywołał na twarz wyraz urażonej niewinności.

– Przypominam, że nigdzie w pobliżu nie ma budki z hamburgerami. Czy to naprawdę takie straszne, że parę małych pestek zwiedziło cię od środka?

– W zasadzie zgadzam się z Szufłą – wtrącił Karoten. – W soku tych owoców musiała być jakaś silna substancja psychoaktywna – dwa ostatnie słowa wymówił szczególnie dobitnie, aby nie pozostawić wątpliwości, że sprawa jest poważna. – Przecież przez cały dzień zachowujemy się jak stuknięci, dopiero teraz, kiedy opróżniliśmy kiszki z tego świństwa, wraca nam rozsądek. Ta roślina po prostu nas wykorzystywała, żebyśmy rozsiali pestki jak najdalej.

– Czy nie o to nam chodziło? Bez posiłku nie zrobilibyśmy nawet połowy tej drogi, i to w o wiele gorszych nastrojach. Nie grymacie, bo jutro może będziecie mnie błagali, żebym poszukał następnego kielka.

Karoten nabrał tchu, aby dać odpowiednio głośny wyraz swojej dezaprobach, ale Szufła, który opanował tymczasem wzburzenie, powstrzymał go uniesieniem dłoni.

– Klótnie w niczym nam nie pomogą. Jesteśmy cali i zdrowi, to najważniejsze. – Skupił uważne spojrzenie na Pawianie. – Ale mimo wszystko należą nam się od ciebie wyjaśnienia. Skąd wiesz tyle o tej roślinie?

Rekonwalescent zmieszał się wyraźnie, spuścił głowę i wzruszył ramionami.

– Pewnie mi nie uwierzycie, ale to przyszło jakoś tak samo z siebie – odpowiedział po chwili cicho. – Obudziłem się w tamtej zimnej norze, było ciemno... Poczułem głód i od razu wiedziałem, co robić. Taki przebłysk, rozumiecie? Jak bym to wszystko nagle sobie przypomniał.

– Dziwne – mruknął Szufła.

– Jasne, że dziwne, ale nic na to nie poradzę.

Karoten przygarbił się, wbił dłonie w kieszenie i zaczął metodycznie ubijać nogami śnieg. Teraz, kiedy ustał dobroczynny wpływ ostatniego posiłku, drżał nawet przy słabych podmuchach wiatru.

– Skoro jesteś taki mądry, to powiedz, gdzie jesteśmy.

Pawian zmarkotniał jeszcze bardziej, potarł pięścią siny z zimna nos.

– Na razie wiem tylko tyle, że znaleźliśmy się poza naszym światem.

– Inny wymiar? Alternatywna rzeczywistość? Wszechświat równoległy? – syłał okularnik jak z rękawa śmiały mi hipotezami.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież sam nas tutaj wpakowałeś!

– Nie wiem, jak to się stało. Uderzyłem w bębenek tylko parę razy, dalej samo już poszło, nie mogłem przestać... Co było potem, nawet nie pamiętam.

– W takim razie odbębnij nas z powrotem.

– Chętnie bym spróbował, ale żadnemu z was nie przyszło do głowy, żeby poszukać bębniaka, kiedyście wyciągali mnie nieprzytomnego ze śniegu.

– Były pilniejsze sprawy... – Karoten poskrobał się po głowie i kontynuował już znacznie mniej napastliwie.

– Nie uda się tam wrócić, na pewno dawno zawała wszystkie ślady. Głupio wyszło, ale skąd mogliśmy wiedzieć, że to takie ważne?

– Trudno, stało się. Zresztą wcale nie jestem pewien, czy bębenek w ogóle dotarł tutaj razem z nami. Może został pod trzepakiem. Musimy radzić sobie inaczej.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. – Pawian nagle zdał sobie sprawę, jak wiele zależy od tego, czy uda mu się wykrzesać z kole-

gów choć odrobinę pozytywnego nastawienia; z pozorowaną nonszalancją zaplótł ramiona na piersi. – Ale czuję, że musi być jakiś sposób. W końcu sobie przypomnę, obiecuję.

– Dobra, dobra. – Karoten skrzywił się niecierpliwie. – Zanim cię olśni, musimy gdzieś mieszkać i coś jeść. Trzeba znaleźć ludzi.

Szufla nagle się wyprostował i wspiął na palce.

– Tam! – wskazał na wprost wyciągniętym ramieniem.

Ponad grzbiety odległych zasp wzbiła się chwiejna smużka dymu. Obserwowali ją przez jakiś czas w napięciu, bojąc się, że zniknie, ale jasne kłęby wciąż wzlatywały ukosem w niebo.

– Ktoś rozpałił ognisko – odezwał się wreszcie szczypiornista, rozdymając nozdrza, jakby węszył pieczone kiełbaski.

– Na takim pustkowiu? Kto to może być? – Karoten skrzywił się sceptycznie.

– Na pewno nie harcerze. – Pawian zdecydowanym krokiem ruszył naprzód. – Chodźmy to sprawdzić, chyba że macie coś pilniejszego do roboty.

Śpieszyli się bardzo, bo słońce opadało coraz niżej i na wschodzie po śniegu zaczynały już pełzać cienie wieczoru, lecz im bliżej byli niewidocznego zza białych zwalów ogniska, tym staranniej zachowywali ciszę. Woleli nie ujawniać przedwcześnie swojej obecności, dopóki nie przekonają się, z kim mają do czynienia.

Wczołgali się wreszcie na ostatnie pasmo zasp, ostrożnie wystawili głowy ponad ich kurzące śnieżnym pyłem grzbiety.

Pośrodku niewielkiej kotlinki otoczonej pierścieniem niskich wzgórz zobaczyli prymitywne obozowisko. Ogień

pełgał w niecce żelaznego paleniska, które spoczywało na drewnianym trójnogu, aby żar nie wytopił w śniegu głębokiej jamy. Obok stały długie, płaskie sanie, obciążone jakimś dużym ładunkiem nakrytym szczelnie kozuchem. Po drugiej stronie ogniska siedział w kucki ich właściciel.

– Wygląda mi na dzikusa – szepnął Szufla, wduszając jednocześnie brodę w śnieg.

Obcy miał na sobie obszerne, skórzane ubranie z kapturem obszytym futrem, teraz zsuniętym na kark. Choć było ciemnawo, w migotliwym blasku ognia mogli przyjrzeć się z boku jego twarzy; miał skudloną czarną brodę, mocno wystające kości policzkowe, płaski i bardzo szeroki nos, głęboko osadzone oczy. Ogryzał wielką kość, mlaskając głośno i pomrukując z zadowolenia; pełne wargi lśniły od tłuszczu.

– Nie wolno sądzić człowieka po pozorach! To stereotypy – sprzeciwił się Karoten. – Może brak mu ogłady, ale założę się, że jest szlachetny i bezinteresowny, jak wszyscy ludzie wychowani w surowych warunkach.

– Czy ja wiem? – Szufla nie dał się tak łatwo przekonać. – A ludożercy i łowcy głów to też stereotypy?

– Mówisz tak, bo jesteś zasklepiony we własnym kręgu kulturowym. – Erudyta delektował się przez chwilę zasłyszonym gdzieś frazesem. – Należy otworzyć się na inne tradycje.

– Nie mam zamiaru na nic się otwierać, chcę tylko szybko wrócić do domu – stwierdził kategorycznie dryblas, a ponieważ widział, że rozmówca zapalił się do dyskusji, dodał szybko: – I tak nie mamy wyboru, musimy tam zejść. Na szczęście jest sam.

Pawian podniósł się pierwszy, zrobił kilka niepewnych kroków w dół zbocza, ale potem stracił równowagę i na siedzeniu zjechał na dno kotlinki. Chłopcy podążyli

jego śladem, choć wybrali mniej efektowną metodę i zeszli ostrożnie tyłem, podpierając się rękami.

Tubylec nawet nie spojrział w ich stronę; wciąż ogryzał kość, jakby ta prozaiczna czynność pochłaniała go bez reszty.

– Dzień dobry. – Szufła uklonił się grzecznie, lecz nie udało mu się wywołać spodziewanego efektu.

Autochton zapamiętało rwał zębami mięso.

– Nie chcemy panu przeszkadzać, ale przechodziliśmy właśnie tutaj obok, zobaczyliśmy dym i pomyśleliśmy sobie, że może warto zapytać kogoś miejscowego o drogę. – Karoten rozpoczął przemowę z pełnym zaangażowaniem, jednak wobec braku jakiejkolwiek reakcji tamtego stopniowo tracił rozpęd. – Chyba trochę pobłądziliśmy, no i nie mamy prowiantu... Potrzebujemy pomocy... Czy mógłby pan?...

Ciemnolicy jegomość bez najmniejszego skrupowania dokończył posiłek, starannie oblizał każdy z palców, poczekał, aż mu się odbije, i dopiero wtedy wstał, westchnąwszy z ukontentowaniem. Był niewysoki, krępy, barczysty.

Gwizdnął przenikliwie, a wtedy po zboczu, z którego przed chwilą zeszli chłopcy, ze szmerem stoczyło się parę grudek śniegu.

Obejrzel się i zmartwiali z przerażenia.

Na górze przysiadło ogromne białe zwierzę przypominające nienaturalnie wyrosniętego kota o niezwykle długich zakrzywionych kłach, które sterczały z obu stron pyska. Na końcach zwężających się ku górze uszu stroszyły się pęczki ciemniejszego włosia, na piersiach i brzuchu powiewała nieco dłuższa sierść o żółtawym zabarwieniu.

Zwierz przyglądał się trójce włóczęgów zmrużonymi pomarańczowymi ślepiami o pionowych szczelinkach źre-

nic, leniwie zamiatając śnieg długim ogonem. Nawet z tej odległości słyszeli jego głuchy, bardzo niski pomruk, podobny do odgłosu przesuwania ciężkich mebli.

– Bez paniki, panowie... – Szufla artykułował słowa niemal bez poruszania wargami, niczym brzuchomówca. – Ten kiciuś chyba jest oswojony.

Obcy dopiero teraz zaszczycił chłopców uwagą. Długim, chmurnym spojrzeniem zmierzył Szuflę, omiótł wzrokiem Pawiana, ale najdokładniejszym oględzinom poddał Karotena, gmerając palcami w natłuszczonych kłakach brody. Trudno było odczytać z jego nieruchomej twarzy, do jakich wniosków doszedł, ale najwidoczniej miał poważne zastrzeżenia, bo tupnął gniewnie buciorem o kolczastej podeszwie i machnął zaciśniętą pięścią. Wydał z siebie parę gardłowych chrząknięć, kaszlnięć i mlaśnieć, kończąc wyraźną intonacją pytającą.

– Co za język, tego się przecież nawet nie da zapisać – jęknął Szufla i dopowiedział głośnie, pomagając sobie kilkoma czytelnymi gestami. – My głodni. Zmęczeni. Zmarznięci.

O ile mogli się zorientować, tubylec powtórzył pytanie, dodając na końcu niecierpliwie warknięcie. Brudnym paluchem wskazał wprost na Karotena.

– Czego się mnie uczeplił? – Okularnik cofnął się dyskretnie o pół kroku.

– Chyba mu się nie spodobałeś. – Szufla zamierzał udobruchać właściciela szablozębnej bestii uśmiechem i łagodnym tonem głosu, lecz Pawian niespodziewanie odepchnął go na bok, głośnie charknął, dwukrotnie cmoknął i pociągnął nosem.

Obcy uniósł na chwilę wypukłe brwi, najwidoczniej zaskoczony, ale zaraz podjął ten nieprzyjemny dla ucha dialog.

– On chce wiedzieć, po co ci takie wielkie oczy – przetłumaczył Pawian półgębkiem. – Zabrania ci na siebie patrzeć, boi się, że rzucisz na niego urok.

Karoten pośpiesznie ściągnął okulary i na dowód dobrej woli schował je do wewnętrznej kieszeni bluzy. Mały człowieczek uniósł brwi jeszcze wyżej, jednak po chwili skinął głową i następną kwestię wychrząkał znacznie już spokojniej.

– Mówi, że teraz już możesz na niego patrzeć, byle nie za długo – wyjaśnił Pawian.

– Co z tego, skoro i tak niewiele widzę. – Karoten założył zmrużył powieki o rdzawych rzęsach.

– Zaraz! – wtrącił się Szufla, łapiąc Pawiana za rękaw.
– Właściwie jakim cudem ty z nim rozmawiasz?

– Próbuje i jakoś wychodzi.

– Znowu przebłysek?

– A żebyś wiedział – poirytowany jedynak wyrwał rękę.
– Zamiast to teraz roztrząsać, lepiej rób, co każe nasz nowy przyjaciel, bo jeszcze puszcza mu nerwy i gwizdnie znowu na tego tam mruczka. – Wskazał kciukiem za siebie.

Szufla natychmiast uznał wagę tego argumentu, z pełną gotowością do współpracy wysłuchał chrapliwego polecenia tubylca.

– O co mu chodzi? – ponaglił kolegę, który spóźniał się z przekładem.

– Każe nam wracać, skąd przyszlismy.

– Dobra rada – westchnął Karoten i odrzucił kaptur, żeby obetrzeć zwilgotniałe z emocji czoło.

Tubylec cofnął się tak gwałtownie, że niemal usiadł w palenisku, ale utrzymał się jakoś na nogach, wymachując ramionami. Kocur w kilku długich susach znalazł się na dole, warując u stóp swego pana.

– Co teraz? – Karoten odgadł, że ponownie stał się przyczyną raptownego zaognienia sytuacji. – Nie chciałem nikogo urazić!

Nawet bez tłumacza było oczywiste, że urywane okrzyki człowieka wyrażają jawną groźbę. Poblady Pawian kilkakrotnie próbował przerwać ten potok złowróźbnych powarkiwań, ale wściekły autochton nie chciał słuchać, roznamietniając się coraz goręcej, aż białka oczu nabiegły mu krwią.

– On myśli, że jesteś synem demona. To przez twoje włosy, tutaj nie znają rudych. Mówi, że trzeba ci wyrwać serce, żebyś nie mógł szkodzić ludziom.

– Nieprawda, mój tata nie jest demonem, tylko inżynierem, ma firmę budowlaną! Chodzę do szóstej klasy, właśnie zaczęły się ferie... – Roztrzęsiony Karoten był bliiski hysterii, na chybił-trafił zaczął obmacywać kieszenie. – Gdzieś tu mam legitymację, zaraz panu pokażę...

– Przestań! – Pawian uciszył go, wsłuchując się z napięciem w ryki rozjuszonego tubylca. – Jeżeli wszystko dobrze zrozumiałem, on mówi, że demony boją się ognia. Podejdź bliżej, udowodnij mu, że z tobą jest inaczej!

Karoten ruszył natychmiast; przeźornie zatoczył łuk, żeby ominąć przyczajonego do skoku kocura, i zbliżył się do paleniska od bezpieczniejszej strony. Nie uchylił się przed dymem, choć łzały mu podrażnione oczy. Wyciągnął dłonie nad płomieniami, a wreszcie przykleknął, dwoma palcami wydobył z żelaznej niecki tłący się żarek i posykując z bólu, parę razy przerzucił go z dłoni w dłoń.

– Wystarczy? – Z rozpaczliwą nadzieją przeskakiwał spojrzeniem od Pawiana do tubylca, aż wreszcie ten ostatni splunął z pogardą w ogień, wyświstawszy przez zaciśnięte zęby resztki gniewu.

– Jego zdaniem powinienś ogolić się na tyso, jeśli chcesz wyglądać jak człowiek – objaśnił Pawian.

– Wolałbym tego uniknąć – zamruczał Karoten, rozcierając śniegiem poparzone dłonie. – A teraz, skoro jesteśmy już po prezentacji, może poprosisz go o coś do jedzenia?

Żmudne pertraktacje, wspierane z obu stron wyrazistą mimiką i gwałtownymi gestami, przeciągały się. Karoten z Szufłą przysłuchiwali się w milczeniu, nie oczekując niczego dobrego. Pawian w końcu odwrócił się do nich i zrezygnowany rozłożył ręce.

– To myśliwy, nazywa się Innu. Polował w tej okolicy, a teraz wraca do domu, zdobył już wystarczająco dużo mięsa i cennych skórek. Mówi, że tylko głupcy wyruszają w daleką podróż bez zaprzęgu, i że szkoda marnować dla nas pożywienie, bo i tak niedługo umrzemy. – Zaplótł ramiona na piersi, chowając dłonie w rękawach bluzy. – Na szczęście zgodził się sprzedać nam trochę jedzenia, przenocuje nas, a jutro zabierze do swojej wsi. Mam nadzieję, że tam spotkamy jakiegoś szamana, który będzie wiedział, jak odesłać nas do domu.

– Jak to mówiłeś? – zapytał zimno Szufła Karotena. – Szlachetny i bezinteresowny?

Rudzielec pokornie przełknął drwinę, wywrócił na lewą stronę kieszenie spodni i drżącymi palcami przeliczył drobniaki.

– Mało tego, w sumie ze dwa złote – zmartwił się.

– Ja mam jeszcze złotówkę i parę miedziaków. – Pawian dorzucił się do zbiórki.

Tylko Szufła ze smutkiem pokręcił głową.

– Wszystko zależy od tego, jak tu stoi nasza waluta. – Karoten podszedł do Innu i zsypał w jego złęczone dłonie

brzęczącą gotówkę, zerkając czujnie jednym okiem na kocura.

Wbrew obawom myśliwy nie poczuł się dotknięty tak mizerną zapłatą. Dokładnie, z obu stron obejrzał każdą monetę, kwitując wszystkie awersy z orzełkiem takim samym pełnym respektu pomrukiem. Wyciągnął z zanadru skórzany woreczek, rozsypał rzemienie i ostrożnie wrzucił drobniki do środka, wysuwając z przejścia koniuszek języka.

– Chociaż raz coś mu spasowało. – Karoten mrugnął przez ramię do kolegów.

Świadomi powagi chwili w uroczystej ciszy obserwowali Innu, który podszedł do sań, wydobył zza wysokiej cholewy buta długi nóż i uchylił kozuch, spod którego wysunęło się coś dziwnego, co najbardziej przypominało białą słoniową trąbę. Zaslaniając sobą cielsko upolowanego zwierzęcia, wykonał kilka szybkich, pewnych nacięć, szarpnął mocno, a potem z zachęcającym uśmiechem odwrócił się, wyciągając przed siebie dłoń z krwawiącym ochłapem.

– Ja właściwie nie jestem głodny – rozmyślił się raptem Szufla. – Możecie zjeść mój kawałek.

– Nie bredź! – skarcił go Pawian. – Bez jedzenia szybko padniesz.

– Makabreska! Naciąga mnie...

– Uważaj, bo nasz dobrodziej jeszcze się obrazi.

Pawian odebrał z rąk myśliwego przerośnięty tłuszczem kawał mięsiwa, podziękował ukłonem i od razu, żeby nie pozostawić sobie czasu na zawahanie, oderwał zębami niewielki kęs.

– Całkiem dobre – skłamał, przełykając mężnie bez gryzienia.

– Tak na surowo? – Szufla wyraźnie tracił na odwadze.

– To się nazywa tatar i w dobrych restauracjach kosztuje kupę kasy. – Pawian nie domyślał się nawet, jak demobilizująco wpływa na kolegów widok jego umazanej we krwi brody.

Zjedli bez dalszego grymaszenia, chociaż Karoten wzdrygał się przed każdym kęsem, a Szufla nawet zamykał oczy. Nie poczuli się syci po tej skromnej kolacji, lecz gdy myśliwy zagrzał w blaszanym kociołku nieco wrzątku i podał im w długim zakręconym rogu, który przekazywali sobie, popijając małymi łyżkami, odżyli nieco i już bez takiej trwogi myśleli o zbliżającej się nocy.

Innu rzucił z sań kilkanaście długich, zakrzywionych żerdzi o spłaszczonym przekroju i sprawnie ustawił z nich naokoło paleniska okrągłe, zwężające się ku górze rusztowanie, które przypominało odwrócony kosz.

– To żebra dużego morskiego ssaka – poinformował Pawian autorytatywnym tonem przewodnika turystycznego. – Są puste w środku i dzięki temu bardzo lekkie.

Myśliwy narzucił na rusztowanie dwie odpowiednio przycięte skórzane płachty, przez otwory na ich krawędziach przewłókł rzemienny sznur i mocno pozaciągał szpary – powstał w ten sposób niewielki namiot o niskim wejściu, z otworem dymnika na szczycie.

– Niezły patent. – Karoten obszedł konstrukcję, tu i ówdzie sprawdzając kopniakiem, czy żerdzie trzymają się mocno. – Bez wygod, ale i tak jest lepiej niż poprzedniej nocy. Jak tak dalej pójdzie, jutro będziemy spać pod prawdziwym dachem.

– Nie liczyłbym na to. – Pawian sceptycznie potrząsnął głową. – Tutaj wszędzie jest okropnie daleko.

– Ważne, że nie musimy już wlec się piechotą. Pojedziemy saniami jak paniska.